OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 13/25 Marca 1868 roku.

Nr 12. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

CZARODZIEJSKA DOLINA

Podług wiarogodnych źródeł.

(*Ciąg dalszy*,—patrz Numer 11).

Lecz któż opisze nasze zdziwienie, że nie powiem przestrach, gdy tuż przed tą gruppą kobiet, ujrzeliśmy dwa igrające niedźwiedzie czarne, dalej kilkanaście wilków stepowych, a prawie u stóp kobiety, wygrzewające się na słońcu dwie potężne, straszne pantery!!?

Osłupieliśmy ze zdziwienia! ale widząc dziewczynki igrające tuż obok tych strasznych zwierząt nabraliśmy ducha, i karawana nasza wyjechała z ukrywającego nas do tej chwili lasu! Ukazanie się jej, dziwne wrażenie w mieszkańcach doliny wywarło: ludzie poczęli coś z sobą rozmawiać, konie zaczęły rżeć, psy szczekać i wyć, słowem—wszystko co żyło nie wyłączając nawet ptaków, nieopisany tworzyło hałas. Widocznie wzięto nas zrazu za Indjan, lecz widok nasz i mowa, wnet zupełnie ich uspokoiły. Po kilku zamienionych słowach nieznajomy biały człowiek, któregośmy odrazu wzięli za naczelnika tej małej kolonji, poprosił nas grzecznie i uprzejmie, abyśmy zsiedli z koni i rozgościli się u niego. Jednocześnie rozkazał przygotować dla nas obiad, sam zaś przy pomocy murzyna i swoich dwóch synów, zajął się umieszczeniem naszych koni i bagaży w miejscu bezpiecznem.



Karawana odbywająca podróż w Nowym Meksyku,—(str. 91, szp. 1).

Tymczasem zdziwienie nasze zamiast się zmniejszyć, coraz bardziej wzrastało w miarę jakeśmy przypatrywali się tym zwierzętom, któreśmy dotąd napotykali tylko w stanie dzikim, tu zaś widzieliśmy je tak swojskie i łagodne, jak owce lub krowy. Nie mniej nas dziwiły i rośliny, któreśmy tu spostrzegli. Były to szpalery dzikiego winogradu, kwiaty, warzywa, zboża i trawy, których niezdarzyło się nam widzieć w stanie uprawnym.

Gdy tak ze zdziwienia przechodzim w zdziwienie, gospodarz przemawia do nas zapraszając, abyśmy do domu jego weszli.

Obiad, który nam podano, wydałby się wyśmienitym nietylko dla tak zgłodniałego jak nasz żołądka. Jedne potrawy były nam dobrze znane, inne poraz pierwszy spotykaliśmy. Była tu zwierzyna, ozory bawole, żubrze garby, pieczyste z ptaków i jajecznica z jaj pewnego gatunku jadalnych sępów; nie brakło też chleba i masła, również jak mleka i sera. Po obiedzie podano nam smaczny i zdrowy napój, w którym poznaliśmy her-

batę z drzewa zwanego *sasafras*, zasłodzoną klonowym cukrem.

Jedząc, przyglądaliśmy się bacznie znajdującym się w pokoju sprzętom, wyrobionyn niezgrabnie i widocznie ręką niewprawną. Naczynia stołowe były rozmaitego kształtu, wyrobione bądź z tykwy, bądź z drzewa, bądź z pewnego rodzaju czerwonej gliny, z której i garnki były ulepione.

Na ścianach wisiały ptaki wypchane, rogi rozmaitych zwierząt, oraz skorupy żółwie. Na oddzielnym stoliczku leżało kilka książek, starannie opylonych—zresztą żadnego obrazu lub zwierciadła.

Gospodarz i rodzina jego byli jedynemi mieszkańcami tej doliny, a co większa, od dziesięciu lat żadnego ludzkiego oblicza nie oglądali. Chłopcy odznaczający się zdrowiem i siłą, tak byli do siebie podobni i wiekiem i fizjognomją, że odrazu poznaliśmy iż są bliźniętami: wyglądali na siedmnastoletnich; jeden miał imię Bolesław, drugi Witold,— pierwszy więcej był podobny do ojca, drugi do matki. Co do dziewczynek, te były znacznie od nich młodsze: starsza Marja miała jasne włosy, młodsza Helena czarne jak heban. Matka ich mieć mogła około trzydziestu pięciu lat, a na pięknem jej obliczu malował się wyraz dobroci i łagodności. Sam gospodarz zdawał się być o kilka lat od niej starszy, pomimo nadzwyczajnej prostoty jego ubrania, znać w nim było staranne wychowanie i ogładę towarzyską; włosów jasnych, oczu niebieskich, oblicza miłego, nie nosił baków, ale miał za to zawiesiste wąsy i starannie podstrzyżoną brodę. Co się tyczy murzyna, był on gruby i przysadzisty, czarny jak jaspis, o włosach gęstych i kędzierzawych, które raczej za wełnę wziąść można. Za każdym razem gdy się uśmiechał, a wyznać należy że się mu to często to zdarzało, ukazywał dwa rzędy wielkich i białych zębów, okolonych kolorowemi usty; w czarnych jego oczach malował się wyraz łagodności i wesela—imię miał Paweł.

Wszystko cośmy tu widzieli wydało się nam tak dziwnem, że coraz bardziej z wzrastającą ciekawością przypatrywaliśmy się wszystkim szczegółom. To też po obiedzie oświadczyliśmy naszemu gospodarzowi, że z najgoręcej życzymy sobie poznać jego dzieje i znaleźć rozwiązanie tej niepojętej dla nas zagadki.

— Zaczekajcie panowie do wieczora—odrzekł nasz gospodarz,—a przy dobrem ognisku dowiecie się całej mojej historji. Teraz radziłbym panom odpocząć, oraz wykąpać się w jeziorze; kąpiel po takiej podróży i przy takim upale, mniemam że się przyda panom.

Gdy pożądany wieczór nadszedł, zgromadziliśmy się wszyscy na około ogniska, nasz gospodarz, którego odtąd nazywać będziemy Henrykiem B., w te słowa zaczął swoje opowiadanie:

— Urodziłem się, moi panowie, w starej Europie, w kraju mało zapewnie wam znanym, który wspaniała lecz burzliwa Wisła obmywa. Ojciec mój, jakkolwiek niezamożny szlachcic, z wielkiej miłości ku mnie, dał mi wychowanie świetne lubo powierzchowne, i od kolebki kierował mnie na wielkiego pana. To mię zgubiło. Wpadłszy w towarystwo młodzieży arystokratycznej, chciałem żyć tak jak oni, co naturalnie w parę lat po zgonie ojca, wyczerpało całkowicie moje fundusze i możeby na ostateczne bezdroża rzuciło, gdyby los szczęśliwy nie dał mi poznać teraźniejszej żony (tu okazał na naszę gosposią), której śmiało rzecz mogę, wszystko co mam i czem jestem w tej chwili zawdzięczam.

Zebrawszy pieniądze jakie mi po licytacji zadłużonego majątku pozostały, oraz te które moja Anna wniosła, co razem uczyniło summę około pięciu tysięcy rubli, puściłem się w kraju i zagranicą na rozmaite spekulacje: byłem to rolnikiem, to kupcem, to przemysłowcem, ale pomimo krwawej pracy najgorzej mi się wiodło i po kilku latach kapitał mój zmniejszył się o połowę. Postanowiłem chwycić się ostatecznego środka: opuściłem kraj rodzinny, spieniężyłem cały kapitał i zabrawszy żonę i dzieci, popłynąłem do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wkraju tym jak wiadomo, sąsiedni nasi Niemcy olbrzymich nieraz fortun się dorabiają, a nawet i bliższy miałem przykład, gdyż przed kilku laty zmarł w Filadelfji mój daleki krewny, który opuścił Europę ze stu talarami w kieszeni, a sto tysięcy dolarów zostawił dzieciom swoim. Dla czegożby i mnie takie same szczęście służyć nie miało?

W Nowym-Yorku zapoznałem się z pewnym Anglikiem, który mi sprzedał za dwieście funtów szterlingów obszerną plantacją w stanie Wirginji. Ani pól zdatnych pod uprawę, ani łąk wybornych, ani lasów tu nie brakło, ale nie było rzeczy niezbędnej w każdem gospodarstwie—nie było robotnika. W owych czasach nie przypuszczano, aby mogła istnieć plantacja bez niewolników murzynów, to też i ja lubo z największym wstrętem, musiałem ich nabyć kilkunastu.

Lecz i w tym nowym zawodzie plantatora, najzupełniejszego doznałem zawodu. Po kilku latach mozolnej pracy przekonałem się ze smutkiem, że grunt z pozoru tak bogaty, najzupełniej był jałowym. O kilka bowiem cali pod urodzajną ziemią z cząstek organicznych złożoną, znajdowały się pokłady anorganiczne, na których po wyczerpaniu warstw górnych, żadne zboże rodzić nie chciało;—słowem, zbiory moje w rok się zmniejszyły, a czwartego już roku zupełnie zawiodły. Byłem zniszczony. Nic innego mi nie pozostawało, jak spieniężywszy cały ruchomy majątek a między innemi i biednych murzynów, zaspokoić swoich wierzycieli i gdzie indziej szukać szczęścia. Nie wszystkich jednak niewolników sprzedaliśmy; jednemu z nich którego panowie macie przed sobą, poznawszy jego uczciwy charakter oraz oceniając szczere przywiązanie jakie nam okazywał, postanowiliśmy dać wolność. Poczciwiec ten jednak za nic nie chciał nas opuścić i oświadczył, że gotów jest podzielać z nami dolę i niedolę i iść choćby na kraj świata. Naturalnie, żeśmy nie wgardzili jego ofiarą i odtąd uważamy go nie za sługę, ale za członka naszej rodziny.

Aby nie znudzić was długim opisem naszych klęsk i niepowodzeń, to tylko powiem, że raz jeszcze popróbowawszy szczęścia w pewnej spekulacji, straciłem do reszty cały fundusz, tak, że mi pozostało tylko pareset rubli srebrem—kwota znacząca w Ameryce tyle, co u nas połowa tej summy.

W Saint-Louis poznałem się przypadkiem z pewnym Szkotem, który także przybywszy do Ameryki z pustą kieszenią, obecnie dorobił się znacznej fortuny, był bowiem naczelnym inżynierem w jednej z kopalni miedzi położonej w środku pustyni amerykańskiej, w górach Mimbres, które się znajdują na zachód rzeki Del Norte. Załatwiwszy swoje interesa w Saint-Louis, wybierał się z powrotem do Nowego Meksyku i czekał tylko karawany hi-

szpańskiej w tamte okolice się udającej, zamierzając przyłączyć się do niej wraz z żoną, piękną Meksykanką i małą córeczką. Gdy się dowiedział o moich opłakanych interesach namówił mnie, abym się wraz z nim udał do kopalni, gdzie przyrzekł mi wynaleść odpowiednie miejsce.

Potrzebujeż mówić, że propozycyą tę z największą radością przyjąłem? Bo też i zasoby moje tak się wyczerpały, że tyle mi tylko pozostało pieniędzy ile potrzeba było na kupienie wozu, konia, i dwóch par wołów, oraz rzeczy niezbędnych w tego rodzaju podróżach.

Wreszcie, nadeszła oczekiwana karawana i wyruszyliśmy w drogę. Było nas wszystkiego około dwudziestu ludzi, którzy bądź jechali konno, bądź kierowali wozami, których było dziesięć. Wozy te według zwyczaju powszechnie w tych stronach przyjętego, ciągnęły woły. Towarzysze nasi byli to po większej części Meksykanie, którzy wracali ze Stanów Zjednoczonych, odwożąc z tamtąd kilka armat i granatników dla gubernatora Santa-Fé.

Nie potrzebuję tu opisywać panom wszelkich przygód naszej podróży, gdyż z własnego doświadczenia je znacie. Parę tylko razy spotkaliśmy się w stepach z indjanami, ale ci wcale nas nie zaczepiali. Po dwumiesięcznej prawie podróży, chcąc uniknąć spotkania z nieprzyjaznem plemieniem indjan—Arapaków, zjechaliśmy ze zwykłej drogi karawan i puściliśmy się wzdłuż jednej z rzek wpadających do Kanady. Przeprawiwszy się przez tę ostatnią weszliśmy w krainę jałową i pustą. Posuwaliśmy się powoli, zatrzymywani często przez małe strumienie płynące z południa, przez które musieliśmy się przeprawiać. Wczasie jednej z takich przepraw, oś naszego wozu pękła. Gdyśmy zatrzymali się dla jej naprawienia, karawana tymczasem kontynuowała podróż. Zacny tylko mój przyjaciel inżynier widząc nasz kłopot, spiął konia i przyleciał do nas galopem ofiarując swą pomoc, ale uprosiłem go aby jechał z karawaną utrzymując, że wóz rychło naprawim i przed nocą połączym się z towarzyszami.

Jakoż w godzinę niespełna naprawiliśmy szkodę i w dalszą ruszyliśmy drogę. Wszakże zaledwieśmy parę wiorst ujechali, koło się nam złamało. Ten wypadek oczywiście był daleko gorszy od poprzedniego i wiedzieliśmy, że koła nie naprawim tak prędko jak osi. To też chciałem już siąść na konia i dopędziwszy swoich towarzyszy prosić ich, aby się zatrzymali i dopomogli mi naprawić koło, ale przypomniałem sobie, że Meksykanie nie należą do najuczyniejszych ludzi, więc pozostałem.

Żywo wzięliśmy się z Pawłem do roboty, a nawet i żona moja nie próżnowała, to pomagając nam w pracy, to pocieszając jak mogła. Wreszcie trudy nasze uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem: wóz gotowy, ale nie bez przykrości spostrzegliśmy, że słońce zupełnie się już schyliło ku zachodowi. Nie widząc śladów wskazujących którędy karawana się puściła (bo dróg tu żadnych nie ma), nie mogliśmy w nocy podróżować. Szczęściem, żeśmy się znajdowali nad brzegiem strumienia, w miejscu dogodnem na obozowisko.

Niepokoiła nas jednak bardzo ta okoliczność, że żaden z naszych towarzyszy nie przyszedł dowiedzieć się, jak to w takich razach zwykle się dzieje, co się znami stało.

Około południa usłyszeliśmy huk, podobny do wystrzału armatniego dochodzący od strony wzgórz, ku którym właśnie zmierzaliśmy. Co by to znaczyć mogło? Mieliżby nasi towarzysze użyć bomby w obronie od Indjan, lub czyli ta ostatnia skutkiem jakiego wypadku pękła? Gubiliśmy się w domysłach, lecz gdy półgodzinne przysłuchiwanie się nic nowego nam nie odkryło, ruszyliśmy dalej miotani najżywszym niepokojem. Ku wieczorowi dopiero ujrzeliśmy ich obozowisko, ale w jakim stanie, mój Boże! Gdy wspomnę o tem, dziś jeszcze krew mi się ścina. Wozy powiększej części były poprzewracane i poniszczone, na ziemi obok przygaszonych ognisk, walały się rozmaite sprzęty, a między innemi działa. Dotąd jednakowoż nie dostrzegliśmy żadnej ludzkiej istoty; dopiero podszedłszy bliżej, ujrzeliśmy nie ludzi wszakże — ale trupy, o które bój toczyły zgłodniałe wilczyska. Obok nich leżały poszarpane ciała wołów, mułów i koni. Na ten widok stanęliśmy jak wryci. Widocznem było, że sprawcami tego zniszczenia byli indjanie. Chcieliśmy się cofnąć ale było już zapóźno, gdyby bowiem w obozie znajdowali się jeszcze łupieżcy, niezawodnieby nas dostrzegli. Ucieczka była niemożliwą. Na szczęście jednak dzikich nie było już w obozie, jak to wnosić mogliśmy z obecności wilków, któreby w razie przeciwnym nie gospodarowały w nim tak bezkarnie.

Pozstawiwszy żonę i córkę pod opieką uzbrojonych w fuzje synów, sam z Pawłem udałem się na widownię tej okropnej rzezi. Odpędziwszy z trudnością wilki, którym nie chciało się tak łatwo opuścić zdobyczy, ujrzeliśmy trupy nieszczęśliwych naszych towarzyszy ale tak zeszpecone, że żadnego z nich poznać nie byliśmy w stanie. Dzicy mordercy pozdzierali według swego zwyczaju skurę z ich czaszek, okropny przedstawiających widok. Ujrzeliśmy pośród obozu odłamy pękniętej bomby, z których kilka dosięgło wozów, zdruzgotawszy je w kawałki. Towary były zrabowane, a tylko rzeczy zbyt ciężkie i nieprzydatne dla dzikich leżały na ziemi. Widocznie jakiś nagły przestrach spłoszył tych ostatnich, a może przyczyniła się ku temu eksplozja bomby, której okropnych skutków nigdy nie widzieli. Napróżnom szukał pomiędzy poległymi poczciwego szkota — nigdziem go znaleść nie mógł. Również nie spotkaliśmy nigdzie w obozie ciał jego żony i córki, które przecież tem łatwiej było rozpoznać, iż w karawanie naszej nie było więcej kobiet.

—Niewątpliwie—rzekłem do Pawła,—uprowadzili ich z sobą indjanie.

W tem głośne wycie wilków i szczekanie psów, zwróciło naszę uwagę w inną stronę. Pobiegliśmy tam śpiesznie i odgarnąwszy zarośle, ujrzeliśmy dwa wielkie psy zażarcie broniące jakiś przedmiot leżący w krzakach przeciw całej rui wilków. Odpędziwszy te ostatnie (bo wilki tego gatunku są lękliwe), w owym przedmiocie poznaliśmy ciało kobiety, której konwulsyjnie uchwyciła się krzycząc z całej siły dziewczynka.... Na pierwszy rzut oka poznaliśmy, że kobieta już nie żyła.

W tem, inżynier o którym na wstępie tej powiastki wspomnieliśmy, przerwał opowiadanie naszemu gospodarzowi. Zdawał się być niezmiernie wzruszony, a zbliżywszy się do Henryka B. zawołał:

— Moja żona, moja biedna żona! O, panie Henryku, czy nie poznajesz mnie pan!

— Mac Knight!—zawołał zdziwiony Henryk,— tak to rzeczywiście jesteś pan....

— Biedna, biedna moja żona—mówił inżynier łkając.—Wiem że ją zamordowali, bom widział później jej ciało.... Ale moje dziecko.... moja córka! Panie, co się z nią stało?

— Oto ona—odrzekł gospodarz ukazując jedną z dziewczynek piękną brunetkę, i w tejże chwili inżynier przyciskał do swego łona Helenkę i obsypywał ją ojcowskiemi pocałunkami.

Trudno opisać scenę, która po tem poznaniu nastąpiła. Cała rodzina powstała ściskając Helenę z płaczem, jakby ją za chwilę zupełnie utracić miała; tak ją przywykli uważać za swoję, że sama myśl rozstania trwogą ich napełniała. Gdyśmy winszowali panu Mac Knightowi tak szczęśliwego spotkania, poczciwy Paweł skakał tymczasem z radości pośród psów i panter.

Wreszcie gdyśmy się trochę uspokoili, pan B. wniósł ogromny gąsior domowego wina, które mówiąc nawiasem bardzo nam smakowało, a Mac Knight opowiedział w krótkich słowach swoje przygody od chwili rozstania z naszym gospodarzem.

„Obrawszy stosowne miejsce na obóz—mówił zwracając się ku panu B.,—tak byliśmy pewni, iż w tych okolicach nie ma wcale Indjan, żeśmy nawet czat nie postawili. Gdy jednak ściemniać się zaczęło, niespokojny co się z wami stało wszedłem na wzgórze, zkąd można było objąć jednym rzutem oka drogę, którąście mieli przybyć, ale tak było ciemno, że nic dopatrzyć nie mogłem. W tem okropny krzyk rozległ się z tamtej strony obozu. Zrozumiałem co to znaczy i bez tchu zbiegłem z góry zmierzając ku obozowi.... Widziałem postacie dzikich krążące około ognisk naszych, słyszałem wystrzały i jęki.... a nawet obił się o uszy moje głos biednej mojej żony, wzywający ratunku!...

Nie wahałem się ani chwili... Uzbrojony długim nożem myśliwskim, rzuciłem się w środek walczących i zabiłem kilku dzikich... Potem biegałem po całym obozie szukając swej żony i wołając ją po imieniu.... ale nikt mi nie odpowiedział. Tymczasem znowu się znalazłem w obec dzikich i rozpocząłem walkę. Nagle uczułem ostrze indyjskiej piki przeszywające mi udo — i padłem w krzaki pociągając za sobą indjanina, w którego piersi utopiłem nóż. Poczem widząc że wszyscy moi towarzysze polegli, a dzicy zajęli się rabunkiem obozu chciałem uciekać, lecz uszedłszy parę set kroków siły mnię opuściły, upadłem staczając się na dno jakiejś przepaści, gdzie ocknąwszy się znalazłem wgłębienie podobne do groty. Tutaj postanowiłem się ukryć, ale zaledwiem dostał się wewnątrz—zemdlałem.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

PIOSNKA OLESI

do Kotka.

U mojego kotka
Mina taka słodka,
Gdy oczki podniesie
Aż całować chce się.

Potulny — łaskawy,
Grzeczny śród zabawy,
Jak dwiema gwiazdkami
Tak mruga oczkami.

Co chcę to z nim czynię,
Cierpi choć niewinnie;
Posłuszny mej woli,
Gdy zwę do swawoli.

Czy w lecie czy w zimie,
Na kolanach drzymie;
W uczuciach niezmiennie
Mruczy mi codziennie.

Oj gdybym takiego,
Jak kotka miłego,
Miała męża kiedy:
Nie znałabym biedy....

O mój kotku złoty!
Jak nie kochać ciebie?
Ty swojemi cnoty,
Więzisz mię do siebie.

W. z Zacisza.

NA GORĄCYM UCZYNKU

Kartka z kroniki kryminalnej.

PRZEZ

Wołodego Skibę.

I

Komu z czytelników idzie o to, żeby się dowiedzieć jak najdokładniej o dniu i miesiącu, w którym się nasza powieść rozpoczyna, ten niepotrzebuje robić żadnych innych poszukiwań, tylko zajrzeć do kollekcji Kurjera Warszawskiego i odnaleźć w nim artykuł opisujący otwarcie najstarożytniejszego w mieście naszem z pomiędzy zakładów zwanych technicznie *bawarjami*. Jesteśmy nawet pewni, że niejeden ze zwolenników Mnichowskiego nektaru, nie będzie potrzebował sięgać tak daleko i z pamięci będzie w stanie objaśnić, od którego dnia zaprowadzoną została w mieście naszem sprzedaż piwa bawarskiego na kufelki; kto więc ma takiego amatora w liczbie swoich znajomych, niech się go spyta, a my zaczynamy opowiadanie.

Otworzono tedy pierwszą bawarję w domu przechodnim Roeslera, a że bawar miał już i przedtem wielu zwolenników, którzy go studjowali w butelkowych edycjach, i że nowość jest zawsze wielką ponętą w naszym kochanym grodzie, mnóstwo więc gości ściągało codziennie do tej świątyni Gambrinusa.

W liczbie pierwszych którzy ją nawiedzili, znajdowali się dwaj ludzie bardzo staranni i poważni: pan Antoni Fiksz, starszy felczer i właściciel razury, oraz pan Soter Kukuli właściciel domu drewnianego na Tamce, w którym mieściła się razura pana Fiksza.

Między dwoma temi panami panowała doskonała harmonja, oparta na wzajemności usług. Lokator golił właścicielowi brodę tak jednak, że na drugi dzień odrastała,— właściciel golił lokatorowi kieszeń, tak że po każdej operacji kwartał cały potrzebowała do odrostu, ztąd wypadło: że lokator musiał czynność swoją powtarzać codzień, a właściciel tylko cztery razy do roku, żadnej jednak z tego powodu do siebie nie mogli mieć pretensji, a nawet w takiej żyli z sobą zażyłości, że obaj razem pójść postanowili pokosztować smaku piwa bawarskiego w kufelkach.

Nektar smakował im przedziwnie, a gdy Kurjer nazajutrz pochwalił nowość, zadecydowali obydwaj, że cobądź w ogólności o pochwałach tego organu powiedzieć można, tym razem przecież miał zupełną słuszność.

Od tej pierwszej wizyty postanowili sobie bywać na bawarji codziennie, dopóki bawara wystarczy; należy bowiem wiedzieć, że w początkach piwa na kufle nie codziennie dostać było można, gdyż z wyczerpaniem się zapasu, następowała zwykle kilkodniowa lub dłuższa przerwa nim nowy war się wystał, co się już dziś na szczęście dla amatorów nie praktykuje.

Przez trzy dni dotrzymywali tego postanowienia najpunktualniej, powiększając każdodziennie liczbę kuflów. Pierwszego dnia każdy zadowolnił się dwoma, na drugi dzień wypili po trzy, trzeciego dnia już po cztery potrzebowali.

W miarę powiększania się liczby kufelków, powiększało się uczucie przyjemności i zadowolenia z jakiem razem powracali do domu, rozwiązywały się ich języki, powiększała się liczba anegdot i dowcipów któremi się wzajem zabawiali, a opóźniała godzina wyjścia z zakładu.

Pierwszego dnia byli już w domu o dziewiątej, drugiego dopiero o kwandrans na jedenastą znaleźli się na Tamce, na trzeci dzień już biło na świętokrzyskiej wieży wpół do dwunastej, gdy dochodzili do Kopernika.

Noc była ciemna, jak to mówią choć oczy wykol. Rewerbery rzucały jakieś przyćmione światło, gazu nie znano wówczas jeszcze.

W bliskości posągu wielkiego astronoma, właśnie koło tego miejsca, które zajmuje szynk zwany Karasiem, w trakcie rozmowy dwaj ci panowie którzy dotąd postępowali obok siebie, nagle rozeszli się o kilka kroków, pan Fiksz machinalnie skręcił w ulicę Oboźną — a pan Kukuli postąpił dalej ku Aleksandrji.

— A co to, panie Antoni, tamtędy? — zagadnął pan Soter.

— Czemuzby nie? panie Soterze — odrzekł pan Fiksz, — bliżej.

— Ale!... bliżej... właśnieby też...

— A ja powiadam panu, że bliżej.

— Oj co nie to nie, wierzajcie.

— Gotówbym się założyć.

— A no, to się załóżmy...

— Tak i łokciem będziem mierzyli? dziękuję za łaskę.

— Nie... kto prędzej dojdzie do domu.

— Ot, zachciało się wam, rozpoczynać wyścigi o ciemnej nocy... człowiek się jeszcze potknie gdzie o kamień i upadnie, —zaprotestował pan Fiksz.

— Po cóż się mamy ścigać? pójdziem każdy krokiem wolnym i równym jak dotąd szliśmy, i basta— odpowiedział pan Kukuli, — kto prędzej będzie u bramy ten wygra.

Po czterech kufelkach piwa, myśl ta spodobała się obydwóm.

— Zgoda... więc o co?

— Kto jutro na bawarji zapłaci.

— Wszystko?

— Wszystko.

— Każdemu wolno pić tyle kuflów ile zechce?

— Wolno.

— I jeść obwarzanków i kiełbasek?

— Ile zechce.

Na tem stanęła umowa. Obaj puścili się w drogę.

— Tylko kroku nie przyśpieszać, pamiętajcie panie Antoni — wołał jeszcze pan Soter, gdy mu już pan Fiksz znikał w zakręcie ulicy.

— Wymówiono, żeby nie kłusem — krzyczał również za nim pan Fiksz.

Obaj słusznie robili, że przeciwnikowi przypominali warunek, bo żaden osobiście nie myślał się do niego stosować. Pan Fiksz przyśpieszał kroku o ile mu ciemność pozwalała, pan Kukuli zaś pędził co mu sił starczyło. Obaj mieli do walczenia z niebardzo równym pod owe czasy brukiem, obydwu instynkt dopomagać musiał bo światło było niedostateczne, obaj wyciągając jak najstaranniej nogi, aby iść największemi jak można było krokami, umiejętnie i ekonomicznie kierowali oddechem, żeby nie stanęli zadyszeni przed bramą, gdyżby to ich zdradziło że przełamali warunek. Każdy za siebie był pewnym wygranej, bo mieli wzajem dobrą o sobie opinją i żaden nie przypuszczał, żeby drugi uciekł się do tegoż samego podstępu.

Czy to, że odległość przez Aleksandrją i Tamkę była rzeczywiście krótszą niż przez Oboźną i Topiel, czy że pan Kukuli miał lepsze nogi lub lepszą drogę od pana Fiksza—dość, że pierwszy stanął przed bramą.

— Wygrałem—pomyślał,—nie ma go i coś nawet nie widać. Ot co, pójdę przeciw niemu na Topiel, niech się przekona, żem go nie o kilka tylko kroków wyprzedził.

Posłuchał tej myśli i poszedł dalej. Na Topielu tej nocy, czy przypadkiem czy z zasady, nie paliła się ani jedna latarnia. Było ciemno jak w rogu i to właśnie było przyczyną, że pan Fiksz człowiek nieco bojaźliwego usposobienia, nie mógł iść tak prędko jakby chciał, bo się oglądał co chwila obawiając się jakiej nocnej napaści lub zasadzki.

Pan Soter odważniejszy, a może tylko rozochocony piwem, nie zważał na ciemność i szedł prosto.

W połowie długości ulicy spotkali się z sobą, nie w taki jednak sposób jak się spodziewali.

Obydwaj w tej samej chwili potknęli się o coś leżącego na ziemi, czego z powodu ciemności nie spostrzegli i potknąwszy się silnie, uderzyli się silnie głowami.

— To wy, panie Soterze?—zapytał pan Antoni.

— To wy, panie Antoni?—jednocześnie odezwał się pan Soter.

— Co to?—rzekli obydwaj pochylajac się ku ziemi, aby zobaczyć przeszkodę która ich oddzielała od siebie.

Drzenie jakieś ich przebiegło.

Na ziemi leżało ciało człowieka, ciepłe jeszcze i niesztywne, ale nieruchome i bezwładne. Nad niem klęczał pochylony mężczyzna, zdający się nieść mu ratunek, czy może, może... rabować. Był on tak daleko zajęty swoją czynnością, że nie zmienił pozycji, nie poruszył się nawet na przyjście dwóch obcych.

Przyjrzawszy się mu bliżej, właściciel domu i starszy felczer dostrzegli, że trzymał wręku nóż, który przy osadzie tylko rzucał w ciemności nieco blasku, musiał więc zapewne być skrwawionym.

— Co to?... co to?—powtórzyli zapytanie dwaj zwolennicy bawara.

Klęczący nad nieruchomem ciałem podniósł się, machinalnie zapewne wydobył chustkę z kieszeni, obtarł o nią nóż skrwawiony i chowając go, odpowiedział tylko:

— Już po nim!...

— Zabity!... zawołał pan Fiksz.

— Zapewne — odrzekł nieznajomy.

— To być nie może, chyba ranny, — rzekł znowu pan Antoni i pochyliwszy się nad ciałem, zaczął szukać śladów życia.

Starania jego były bezskuteczne.

— Już po nim... w samo serce trafiony,—odezwał się po krótkiej chwili.

Pan Kukuli, który dotychczas nie mógł zdobyć się na słowo, odzyskał nareszcie głos:

— Więc to—rzekł do nieznajomego,—więc to pan go zabiłeś?

Nieznajomy wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Ja?...

W głosie jego był wyraźny akcent zadziwienia i pytania, które zresztą wzruszenie ramion najdokładniej tłómaczyło. Ale po nocy nie można było widzieć wzruszenia ramion, a uszy dwóch ludzi przestraszonych wypadkiem i podpojonych bawarem, mogły łatwo nie uczuć pytalnego tonu. W istocie i pan Soter i pan Antoni wzięli nieznajomego za zabjócę, coby im zapewne na myśl przyszło nawet i wówczas, gdyby tenże poprostu odpowiedział „nie". Ani jeden ani drugi jednakże, nie myśleli czynić uwag człowiekowi uzbrojonemu nożem i gotowemu jak się pokazywało, używać go bardzo energicznie. Czuli przecież, że im nie należało wypuścić z rąk złoczyńcy, i postanowili w duchu zatrzymać go o ile będzie można najłagodniej i najzręczniej, dopóki ktoś na pomoc im nie przybędzie.

— Czy pan znałeś tego człowieka?—ośmielił się zapytać pan Soter.

— Nie—odrzekł nieznajomy;—w każdym razie nie mamy tu co robić dłużej—dodał po chwili,—wypada zawiadomić władzę. Może kto z panów weźmie to na siebie?

— Pójdźmy razem do komisarza—zaproponował pan Fiksz.

— Prawdę mówiąc—rzekł nieznajomy,—nie widzę potrzeby dlaczego wszyscy trzej iść mamy. Noc późna, idzie tylko o danie wiadomości, że tu zostało popełnione zabójstwo. Niech więc jeden się uda, jeżeli nie panowie to ja. Nasze zeznania narażą nas tylko na subjekcją, a nieboszczykowi nie pomogą bo nic nie wiemy, z czystem więc sumieniem dwóch przynajmniej z nas mogłoby sobie mięszania się w tę sprawe oszczędzić.

— Nie koniecznie rozumiem co pan chcesz powiedzieć—odrzekł pan Antoni,—jużciż jeżeli ten człowiek pana napadł i jeżeli pan go w obronie własnej zabiłeś...

— Kto panom mówi, że on mnie napadł?—odparł nato nieznajomy, — zkąd myśl, że ja go zabiłem?...

— Jakto, panie!—wtrącił pan Soter,—sam przecież mówiłeś przed chwilą.

— Na własne uszy słyszeliśmy—dodał pan Kukuli.

— Ja mówiłem żem zabił?... ja?...—piorunującym głosem krzyknął nieznajomy,—ludzie, ludzie! opamiętajcie się, co wam w głowie?...

— Nam nic do tego, prawda — starał się uspokoić go starszy felczer,—ale zawsze, właśnie dla tego, że się pod tym względem porozumieć nie możemy, wypadałoby...

— Ot co — przerwał pan Soter, — dla własnego pańskiego interesu należałoby, żebyś poszedł...

To mówiąc, obydwaj porozumiawszy się zapewne jakimś znakiem czy trąceniem, podeszli z obu stron do nieznajomego i ujęli go silnie pod ręce.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

POGADANKI EKONOMICZNE.

O tworzeniu bogactw czyli produkcji.

III.

CZŁOWIEK I ZIEMIA.

Jeżeli się chcemy uważnie, ale koniecznie uważnie rozpatrzeć w tem co się około nas dzieje, na wzajemne do siebie przeróżnych stworzeń stosunki, na objawy sił przyrody, na warunki bytu istot wyższego i niższego rzędu, na nieustanne ich na siebie oddziaływanie i zobopólną zależność—niewątpliwie uderzyć nas musi ów porządek, ład czyli harmonija panująca w ogólnym ustroju istot stworzonych, a nadająca im przytem ten ruch i życie, które właśnie stanowią nieodzowny warunek bytu.

Ład ten jest dziełem tej Ręki, która tak ziemię jak inne światy do życia i ruchu powołała. Taż sama Najwyższa Ręka to jest Bóg, postawiła *człowieka* na czele wszystkich istot stworzonych, dawszy mu rozumnego i myślącego ducha, czego odmówiła innym, a przez którego człowiek zapanować może tak nad samym sobą, jak i nad wszystkiemi otaczającemi go istotami. Tylko więc *duch* stanowi wyższość człowieka nad innemi stworzeniami, *ciałem* bowiem przewyższa go wiele niższej organizacji stworzeń. Dość na to parę przykładów. Człowiek słabszym jest od lwa, mniej wytrwałym od konia, mniej zwinnym i zręcznym od tygrysa lub dzikiego kota, ani się może wznieść w powietrze jak ptak lub owad, nie może również jak niektóre zwierzęta żyć zarazem na ziemi i w wodzie. Z natury nawet tak jest słaby i do tego stopnia pozbawionym środków obrony, iż gdyby nie rozum i wola jego, które mu dostarczają środków nie tylko do obrony przed innemi stworzeniami, które na zgubę jego czyhają lecz i do zapanowania nad niemi—człowiek powtarzam, przychodząc na świat jest tak bezbronnym, iż z dniem urodzenia swego byłby skazanym na śmierć niechybną gdyby nie ten duch, który bezbronne jego ciało najsilniejszem i najpotężniejszem czyni ze wszystkich i sprawiedliwie królem stworzenia zwać nakazuje. I duchem też a nie czem innem, opanował człowiek *materją* to jest, to wszystko co jest stworzonem. Umysł jego rozumie i pojmuje to, co dla wszelkich innych istot ani zrozumianem, ani wyjaśnionem być nie może.

Należy nam tu jednak objaśnić, iż człowiek do stanowiska jakie zajmuje w stworzeniu nie doszedł darmo, —i nie od razu go zajął. I dziś jeszcze nie jest ono takiem, jakiem być powinno. Opatrzność chciała, aby zawady napotykane przez człowieka w rozwoju jego władz duchowych — służyły właśnie do pomnożenia jego energji i wytrwałości. Jak od początku istnienia swego na ziemi, człowiek wywalczyć sobie musiał wszystkie warunki, aby byt swój przynajmniej znośnym uczynić zabezpieczając się tak od głodu i zimna—tak i dziś po kilkudziesięciu wiekach cywilizacji, musi on walczyć wytrwale o każdą swoją zdobycz, czy to na polu wiedzy, czy to na polu materjalnego polepszenia bytu swojego. Walka wyrabia siły, a zwycięztwo daje mu wiarę w przyszłość. Walka ta człowieka z naturą, z jej siłami, które nie wszystkie odkrył z jej tajemnicami, które wyjaśnić pragnie, trwała od początku ukazania się człowieka na ziemi, trwa dotąd i chyba wtedy się skończy, kiedy i ludzkość istnieć przestanie.

Wiadomem jest z historji, iż ludzie nie odrazu przyszli do takiego stanu w jakim się obecnie znajdują. Nie od razu byli ucywilizowani, bogaci i uorganizowani w wielkie i kwitnące państwa, jak to dziś widzimy. Cofając się do początkowych dziejów ludzkości, do przedhistorycznej kolébki ludów, ujrzymy zupełnie odmienny obraz od tego, co nam przedstawiają dzisiejsze ucywilizowane narody. Nie było ali bowiem wówczas ani wsi, ani miast, ani rolnictwa, an-

przemysłu, ani handlu, ludzie żyli tylko wstanie do natury zwierząt zbliżonym, istnienie ich i zajęcia ograniczały się do zaspokojenia codziennych potrzeb nędznego życia za pomocą polowania, rybołówstwa lub hodowania stad i trzód. A że pierwotnie taki stan był stanem wszystkich mniej więcej przedhistorycznych ludów, mamy żyjące tego dowody w naszych czasach, na dzikich ludach całej Afryki i na Indjanach Ameryki północnej. Otóż w takich nawet dzikich lub na pół dzikich ludach i plemionach, spostrzegamy jeden fakt niezmiernej wagi, a jak dla nas najważniejszy — a tym faktem jest to, iż aby człowiek dziki, nawet nie mający żadnych prawie potrzeb wyjąwszy głodu, mógł żyć, *musi zapracować* na swoje wyżywienie, gdyż inaczej bez dostarczenia sobie żywności choćby na dzień jeden, zginąłby głodną śmiercią. W prawdzie praca taka nie jest jeszcze godną nazwiska pracy, dziki człowiek nic nie *tworzy*, *niszczy* tylko i *zużywa* to, co nam daje przyroda: zabija on zwierzęta, łowi ryby, spożywa owoce. Otrzymanie tego wszystkiego kosztuje go nie raz wiele zachodów i mozołu, jednakże te trudy jego nie zasługują na nazwę pracy w właściwem jej znaczeniu, gdyż podobnie do dzikiego człowieka i zwierzęta pracują. Jednem słowem, praca człowieka żyjącego wstanie natury nie jest pracą, a nie jest nią dla tego, iż nie jest produkcyjną czyli nic nie tworzy. Zatrudnieniom więc dzikiego człowieka, odmówimy szlachetnej nazwy *pracy*, ograniczając się bowiem do zupełnie niemal instynktowo spełnianych funkcji zwierząt, jakiemi są: zaspokojenie głodu lub pragnienia, albo też chronienie się od zimna lub upału, nie stawiają go w niczem wyżej od tychże zwierząt. Myślącego człowieka to jest wyższego nad wszystko co go otacza, tam jeszcze nie widać.

Człowiek pracujący, ukazuje się dopiero jako *uprawiający ziemię*. Wszystkie prace około roli, znamionują już pewien stopień ogłady i cywilizacji, każą się domyślać pewnego przemysłu, pewnych pojęć o własności. A to już jest bardzo wiele. Tu się zaczyna świat nowy, nowa egzystencja dla ludzkości. Z początkami uprawy ziemi, kończą się wieki nie barbarzyństwa lecz dzikości. Człowiek występuje już jako pracujący produkcyjnie, twórczo, powołuje bowiem do życia i łona ziemi liczne płody, które bez niego, bez jego usiłowań i trudów, nigdyby istnieć i kwitnąć nie mogły.

Każdy to łatwo zrozumie, iż za uprawą ziemi idzie przemysł i handel, bo ziemia ożywiona pracą człowieka dostarcza ku temu najróżnorodniejsze przedmioty, idą nauki i sztuki, powstają miasta, wznoszą się liczne wioski, zakładają fabryki, mnożą rękodzieła. Praca wtedy przybiera już tysiączne formy, rozdziela się na mnóstwo odnóg, wzrasta do olbrzymiej potęgi. Zwiększające się potrzeby ducha i ciała wyradzają odpowiednie środki ich zaspokojenia, już to w dziedzinie moralnych i naukowych zdobyczy, już to na polu przemysłowych odkryć i ulepszeń. A jeżeli wiemy, iż nawet dziki człowiek, aby zaspokoić swe ograniczone potrzeby pracować musi, o ileż większej musi się oddać pracy ten, komu nie tylko już sam głód zaspakajać potrzeba. Jakoż w istocie czem ludzie stawali się więcej oświeceni i z czem więcej szerzącemi się wymaganiami moralnemi i materjalnemi życia, robili się coraz trudniejsi w zaspokojeniu takowych—tem ogólna ilość pracy ludzkiej więcej się pomnażała, i w jakim stosunku wzrastały potrzeby, w takim samym wzrastała ilość pracy konieczna do ich zaspokojenia.

Ziemia jest najgłówniejszem polem, na którem działalność człowieka rozwijać się może. Woda i powietrze jakkolwiek i te opanować zdołał do pewnego stopnia, nie przedstawiają mu już tyle materjału do użytkowania wszystkich sił jego przedsiębierczego ducha. Ziemia więc i wszystko co na niej jest lub się w jej wnętrzu ukrywa, jest warsztatem *produkcji* czyli *tworzenia bogactwa*. I dla tego w zapatrywaniu się naszem na objawy *pracy*, będziemy uważać ziemię jako najgłówniejszy czynnik produkcji. A że pogląd nasz nie będzie błędnym, przekona nas ta okoliczność na którą zwracamy uwagę naszych czytelników, iż czem który kraj lepiej jest uprawny, czem tam umiejętniej z ziemią się obchodzą—tem z pewnością on wyżej stoi od innych, tem ogólna summa użytecznej pracy w nim dokonywanej, jest większa od ogółu pracy krajów sąsiednich. Jestto prawda, którą wszyscy mamy przed własnemi oczami; najucywilizowańsze kraje: Anglja i Niemcy, najlepiej ziemię uprawiają. W jak rozlicznych zaś kształtach i objawach występuje praca człowieka około ziemi, o tem w następnej naszej pogadance mówić będziemy.

Konstanty Wzdulski.

Podróż wołami w Ameryce południowej.

Kiedy i przez kogo wynalezione zostały wozy, nie wiadomo z pewnością; to tylko pewna, że początek ich sięga bardzo odległych czasów. Pierwotnie były one niezgrabne, raczej do sani niż wozów podobne;—później dodano im dwa koła. Frygijczykowie mieszkający w Małej Azji, pierwsi poczęli je budować o czterech kołach. Scytowie zaś zamieszkujący południowo-wschodnią Europę, używali do swoich wozów sześciu kół, bo też były to wozy wielkie jak domy, a mieściły się w nich całe rodziny koczujących Scytów. W ogóle jednak wozy tych barbarzyńskich ludów wielką odznaczały się niezgrabnością, i dalekiemi były od tych, jakie obecnie w krajach ucywilizowanych w powszechnem są użyciu. Dopiero Grecy i Rzymianie, których najprostsze nawet wyroby odznaczały się wdziękiem i artyzmem, sztukę robienia wozów do wysokiego posunęli stopnia. Rzymianie mieli od 60 do 70 gatunków wozów różnie nazwanych i do rozmaitego użytku służących. Najpospolitszemi były wozy o dwóch kołach, lubo i o czterech znane były powszechnie. Pod względem kosztownych ozdób i artystycznego wyrobienia, nic nie pozostawiają one do życzenia — pod względem jednak wygód i praktyczności, dalekiemi były od dzisiejszych naszych powozów. Wozy tryumfalne i wyścigowe były o dwóch kołach, a z kształtu możnaby przyrównać do fotelu bez nóg tyłem do koni zwróconego. Powożący stawał na nim i wziąwszy cugle, zręczną i silną ręką kilku nieraz kierował rumakami lub mułami. Najbogatszym ich wozem był *carpentum*, którego najwyżsi dostojnicy używali. Po upadku cesarstwa rzymskiego, długo jeszcze królowie Europy zachodniej używali prostych wozów o czterech kołach, ciągnionych przez woły. Dopiero w niedawnych bardzo czasach poczęto używać powszechnie powozów, które tem się różnią od wozów zwyczajnych, że pudło w nich nie bezpośrednio na osiach lecz na resorach spoczywa. Powozy właściwie wynaleziono dopiero w XVI wieku, i początkowo tylko królowie ich używali. Zresztą były to niezgrabne karoce, podobne raczej do arki Noego, niż do wykwintych i lekkich koczyków dzisiejszych. Dziś sztuka powoźnicza doszła jak się zdaje do najwyższego stopnia doskonałości, a wyliczenie samych nazw rozmaitych powozów teraźniejszych, przekroczyłoby zakres niniejszego artykułu. Nie opisując więc ich bliżej powiemy tylko, że ostaniemi czasy poczęto pracować w Anglji nad zastosowaniem pary do zwyczajnych wozów, dotąd jednak próby te nie osiągnęły pomyślnego rezultatu.

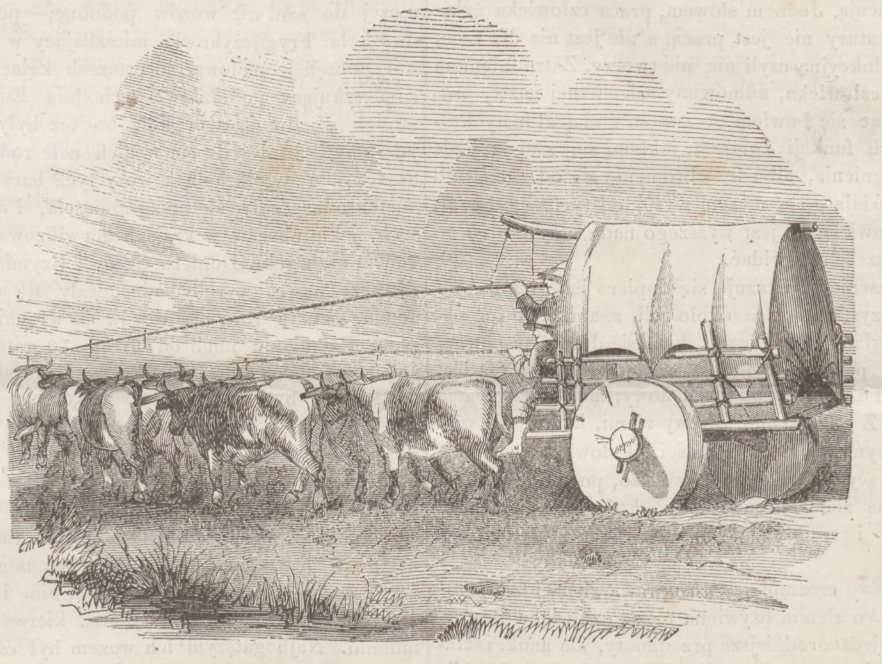
A teraz słówko o wozach używanych w Ameryce Południowej.

Już z samego obrazka, który poniżej tego artykułu załączamy, łatwo zauważał czytelnik, że: najprzód, wóz ten należy do najpierwotniejszych; a powtóre, do najoryginalniejszych wozów, jakie istniały lub istnieją na świecie. Jeszcze

wóz pół biedy, ale zaprząg—to już niezrównany. Ten długi szereg wołów, również zaspanych jak ich woźnica, ten rodzaj długiej piki, które powożący używa do pobudzenia energji swego zaprzęgu; —wszystko to wyraźnie nas przekonywa, żeśmy zupełnie w innym kraju, wśród innych ludzi, niż ci do których przywykliśmy, wśród których żyjemy.

Nie dziwactwo jednak jakby się napozór zdawało, ale potrzeba zmusiła mieszkańców tutejszych do używania takiego zaprzęgu. W Ameryce bowiem południowej a po części i w północnej, obok nieprzebytych dziewiczych lasów, znajdują się również obszerne płaszczyzny bądź gęstą trawą porosłe, bądź pokryte piaskiem i gdzie na kilkadziesiąt nieraz mil ani drzewa, ani wody, ani nawet źdźbła trawy napotkać nie można. Jedyną roślinnością takich pustyń są kaktusy lub karłowate chwasty, ani dla ludzi, ani dla zwierząt niepożyteczne. Otóż podróżując w takich pustyniach a nadewszystko przewożąc ciężary, powszechnie używają do zaprzęgu wołów, jako wytrzymalszych na głód i pragnienie od koni. Dla tego zaś zaprzęgają ich tak dużo, bo woły w krajach tutejszych bardzo mało kosztują i lada czem przekarmić się dają; zresztą czynią to i dla tego, żeby w razie danym gdy zabraknie żywności, przeznaczyć na ten użytek jednego z zaprzęgowych wołów, a przytem i na to pamiętać należy, że tak ciężkiej budowy wóz, nadto będąc obładowany towarami, musi nadzwyczaj silnego wymagać pociągu zwłaszcza w kraju, gdzie zupełnie dróg nie ma. Użytek zaś owego bodźca czyli piki o jakiej wspomnieliśmy, wytłumaczyć się daje znaczną odległością przednich par wołów od woźnicy, któryby zwyczajnym biczem nie potrafił dać sobie rady.

Mścisław Kamiński.



Podróż wołami w Ameryce południowej,—(str. 96, szp. 1).

KORRESPONDENCJE OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *P. Brunonowi z nad Wisły.* Odpowiadając w duchu odezwy do Redakcji, można powiedzieć że szanowny autor za „długo myślą błądził po lasach polach i łąkach mazowieckich" bo się aż zadyszał, co znać z wymęczonych jego utworów, i znać za krótko „taż myśl *wrzała*, nim się dała pochwycić w karby niemego pióra", bo widocznie się niedogotowała; dla tych więc powodów, zadyszanych i niedogotowanych utworów pod napisami: „Chłopek w zimie" i „Do wróbla"—nie ujrzysz pan w szpaltach Opiekuna.

P. Ign. Porajowi z Mazowieckiej ulicy. Wiersz nadesłany poświęcony pamięci ś. p. Julji P***, nieodpowiada duchowi naszego pisma.

P. Aff...... w Petersburgu Pomyłka co do nadsyłania Gazety Rolniczej sprostowaną została; żądany N-er 3-ci Opiekuna pod opaską wysłaliśmy.

Panu X. w Suwałkach. W odpowiedzi naszej umieszczonej w numerze 8-m Opiekuna, upatrujesz pan przesadę i mówisz, że nie słusznie odstręczamy młodzież od pióra, poniżając zawód literacki. Gdybyś pan chciał lepiej wczytać się w ów artykuł, znalazłbyś na jego wstępie, że nie tylko nie poniżamy pracy literackiej, ale nawet stawiamy ją obok zawodu kapłańskiego. Że zaś w barwach nieco czarnych odmalowaliśmy obecny stan większej części naszych literatów, nie powinno to jak sądzim nikogo dziwić, bo możeż dobrze powodzić się literatom, gdy w piśmiennictwie dziś-czesnem tak wielka panuje stagnacja? Mogąż łany zielenić się bujną roślinnością, gdy z nizkąd soki pożywne tej ostatniej nie zasilają? Są wprawdzie jednostki, które w ciernistym zawodzie literackim dobiły się jakiej sławy, znaczenia, a nawet majątku. Ale to są wyjątki, które postaci rzeczy nie zmieniają. Zresztą trzeba przyjąć za ogólną zasadę: że kto się chce jakiemubądź zawodowi poświęcić, powinien wprzód dobrze zbadać swe siły. Jeżeliś mocny, jeśli czujesz w sobie ów boski ogień który cudów czasem dokazuje, jeżeli jesteś pewny że się nie ustraszysz żadnych przeszkód, że ciężar swych obowiązków zdołasz udźwignąć—wówczas naturalnie, cofnąć się byłoby zbrodnią. Dla ludzi tego rodzaju nie ma prawideł, bo oni sami je tworzą. Ale jeżeli nie posiadasz tychwszystkich przymiotów, wspomnij na ten nieoceniony wiersz: „kto nie jest architektem, może być murarzem," i zamień pióro na odpowiedniejsze do swych zdolności narzędzie. Nie zyskasz może w tym zawodzie takiego rozgłosu, ale to pewna, że równie możesz być społeczeństwu pożytecznym.

Niekoniec tego. Czynisz pan nam inny jeszcze zarzut. Oto, że dla tego odstręczamy od zawodu literackiego, iż nie przynosi on materjalnych korzyści. „Jakto—wołasz—czyliżby literat dla samego tylko chleba pracował? czyliżby nie miał innych celów, większych, świętszych?" Nie, panie, chleb nie powinien być celem literata, ale niezaprzeczysz pan, że jest dlań środkiem do życia. Kto tej prawdy nie potwierdza, musi być albo kandydatem na poetę, albo opływającym we wszelkie dostatki. W pierwszym razie, nie widzi rzeczywistości za ułudnemi obrazami marzeń swoich; w drugim, nie pojmuje jej dla tej prostej przyczyny, że syty nigdy głodnemu nie wierzy. Lecz powiesz może pan, że ten i ów literat jakkolwiek nie należy do gwiazd pierwszorzędnej wielkości, nie jest przecież biedakiem i pod żadnym względem do kategorji chudych literatów nie należy. Prawda, lecz zapytaj pan czy wszyscy oni swój dobrobyt pióru zawdzięczają? czy wszyscy poszli tą drogą, którąbyś pan np. pójść zamierzał? a wreszcie, jakiemi nieraz ofiarami ten dobrobyt okupiony został?... Jeżeli wszystko to co się w obu tych odpowiedziach rzekło, nie zmieniło pańskich przekonań, nie zachwiało odwagi, z rozkoszą podajemy panu dłoń koleżeńską i witamy w nim nowego zapaśnika w trudnym naszym zawodzie.

Panu J. B. Liw....pod Barem. Ceny rocznych kompletów „Opiekuna dom," podługjakich Redakcja przesyła w razie żądania, szczegółowo podane zostały w N-rze 8-m tegoż pisma z r. b.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.